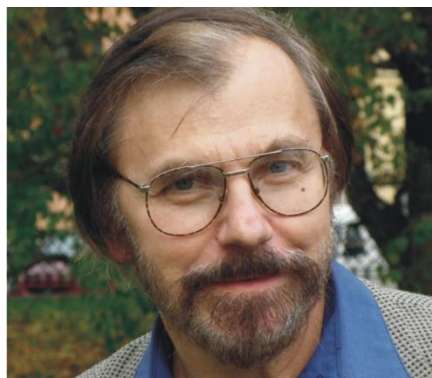


Listy do Pani A. (208)



Fot. Andrzej Dębowski

List z „Klepsydrą”

Droga Pani!

Listopad jest takim miesiącem, kiedy ostrzej zauważamy, jak szybko wszystko się kruszy. My sami także – choć uporczywie wierzymy we własną „trwałość”; konstatujemy z niejakim zdziwieniem, że już jesteśmy inni, niż – powiedzmy – jeszcze dziesięć lat temu. I nie chodzi tu o jakieś wewnętrzne przemiany, ale o nasze siły, sprawność, i o tę powiększającą się pustą przestrzeń, która nas otacza.

Żyjemy często wspomnieniami. Jeśli pewne etapy naszego życia dawno przeminęły, to istnieją w naszej wyobraźni. Lękamy się złych wiadomości, choć wiemy, że w zasadzie wiele się zmieniło; że dużo osób już nie ma, choć trwają w naszej wyobraźni i wspomnieniach. Przecież byli „od zawsze”, wydawali się niezniszczalni, a więc zapewne jeszcze żyją w tych miejscach, co dawniej; miejscach, które z różnych powodów opuściliśmy, wyjechaliśmy do innych miast, zmieniliśmy pracę. Wierzmy, że brak codziennych kontaktów nie musi oznaczać nieistnienia.

Ostatnio otworzyłem sobie Wikipedię i wpisałem nazwisko mojej dawnej szefowej: Małgorzata Dipont. I co się okazało? To czego mogłem się spodziewać, ale nie dopuszczałem do racjonalnej świadomości. Małgorzata zmarła cztery lata temu w wieku osiemdziesięciu jeden lat.

Poznałem Ją na zebraniu w „Szpilekach”. Redaktor Marek Przybylik organizował w tym czasie zespół redakcyjny nowopowstającego w miejsce „Życia Warszawy” inny dziennik „Życie Codzienne”. Zebranie odbyło się właśnie w lokalu „Szpilek”. Znalazłem się w zespole redakcyjnym, a Małgorzata Dipont została kierowniczką działu kultury, a więc moją szefową.

To były czasy! Siedzieliśmy przy jednym biurku, ona zlecała mi tematy artykułów. Nazywałem ją Królową, a siebie Lordem Kancleżem. Kiedy już wszystkie czynności były z grubsza wykonane, Małgorzata rzucała hasło: „Stefku, idziemy”. Chodziliśmy zatem do różnych sklepów, w południe na pokazy filmowe dla prasy. Dzięki niej poznałem Jej męża, wybitnego reżysera Jerzego Kawalerowicza. Po pokazach odwoziła mnie często swoim

samochodem do domu, bo mieszkaliśmy w jednej dzielnicy.

Wiele wspomnień, przyjaznych chwil, pomimo stresów związanych z pracą, które ja niekiedy w sposób irracjonalny, przeżywałem. Ale ona zawsze potrafiła uspokoić, spokojnie zasugerować poprawki w tekście; miała poczucie humoru. Była to osoba o wielkiej kulturze osobistej. A teraz... Och, ta Wikipedia! Po co tam zajrzałem, choć przeczuwałem... Pani takich przypadków ma pewnie zdecydowanie mniej. Ostatecznie – mogę zdradzić, bo to bynajmniej nie moja wina – dzieli nas ćwierć wieku!

Wraz z ludźmi odchodzi jakaś cząstka świata, nas samych. Wszystko staje się jakieś inne.

Umierają nam także poetyckie festiwale. Nie ma już Festiwalu Poezji Słowiańskiej ani Dnia Poezji UNESCO organizowanych przez Aleksandra Nawrockiego, Literackich Plenerów w Staszowie, których duszą był Stanisław Nyczaj. A teraz – wraz ze śmiercią Andrzeja Grabowskiego – skończyła się Galicyjska Literacka Jesień Pogórza.

Zobaczyłem w telefonie wiadomość od poety Janka Dydusiaka, że nasz Malutki, czyli Andrzej G., nie żyje. Straszne, nieprawdopodobne zaskoczenie; jak to, Andrzej, taki aktywny, pełen życia, humoru, twórczej aktywności tak szybko odszedł? Wprost wierzyć się nie chce.

Wokół mnie staje się coraz bardziej pusto. Nie ma Aleksandra Nawrockiego i jego żony czyli Pani Basi, jak nazywaliśmy ją wszyscy, Leszka Żulińskiego, Kazia Ivosse, Stasia Nyczaja, teraz Andrzeja Grabowskiego... I wielu, wielu innych przyjaciół i znajomych z kręgów literackich, często moich rówieśników, niekiedy nawet młodszych. Nie chcę tu robić wspominków, choć to listopad. Mam ich wszystkich w pamięci, i oni zasiedlają moją wyobraźnię. Jakby nie stało się nic, choć stało się tak wiele...

Zastanawiałem się, jak to jest: skoro się rodzimy, to dlaczego musimy umierać. Czy nie mogło to wszystko być inaczej urządzone? Jaki jest tego wszystkiego sens? Na to dotychczas najmądrzejsi filozofowie wespół z teologami nie znaleźli, jak dotąd, odpowiedzi. I mam wrażenie, że nie znajdą, bo tajemnica ta zostanie rozwiązana, mam nadzieję, dopiero u końca czasów. Tymczasem cieszymy się tym co jest.

Odsłuchałem właśnie kolejną audycję jezuitę Grzegorza Kramera. Grzegorz – powołując się na Ewangelię – przypominał, że należy cieszyć się tą chwilą, która właśnie jest, korzystać z niej i wyciągać wszelkie dobro. Bo ona już nie wróci. Czasu cofnąć ani powtórzyć się nie da. Pisała Wisława Szymborska „nic dwa razy się nie zdarza”. Ale za każdym razem coś może być innego, może nawet większego i radośniejszego; czas pędzi do przodu. Spopielenie kartki nawet z najpiękniejszym wierszem już nie odzyskasz. Musimy zatem żyć w danych nam realiach, uczestniczyć w życiu światem. Dlaczego tak jest – nie wiem. Polecam Pani filmiki Grzegorza na youtube. Ale mi się zebrało na filozofowanie, pewnie z powodu zaduszkowej atmosfery.

Niedawno w Kielcach w Alei Sław odbyła się uroczystość odsłonięcia popiersia Stanisława Nyczaja. Wybierałem się do Kielc, miałem to w planach, ale człowiek – jak Pani wie – nie zawsze jest panem swoich sił i zdrowia. Musi wystarczyć sama duchowa obecność. Z radością i zarazem z żalem, że nie mogłem tam być razem z Przyjaciółmi i Kolegami, obejrzałem szereg zdjęć z uroczystości. Przemówienia, wspomnienia, nastrój podniosły, jak relacjonowała mi Irena Nyczaj. Zresztą waga i powaga tej uroczystości w swoisty sposób wybrzmiała i na zdjęciach. Są na facebooku oraz stronie Ireny.

Bywa tak, że niekiedy zdalne uczestnictwo musi wystarczyć. Sporo osób tam było, z którymi chciałem się spotkać. Przede wszystkim właśnie z Irenką Nyczaj, Janem Chruslińskim, Elą Musiał... Nie, nie będę Pani wyliczał, bo to niepełna prawda. Spotkać się chciałem bez wyjątku ze wszystkimi.

Ukazał się nowy numer „LiryDramu” poświęcony Andrzejowi Tchórzewskiemu. Tam w tekście poświęconym temu wybitnemu poecie i myślicielowi znalazłem cytaty z moich tekstów, które pisałem o Andrzeju. A kilkanaście stron dalej wspomnienie pióra znakomitej poetki Aldony Borowicz, prywatnie żony Andrzeja. Przyjaźniłem się z obojgiem, bywaaliśmy u siebie. Lubiłem jeździć do nich na działkę, rozmawiać wśród kwiatów i śpiewu ptaków. Poruszaliśmy zagadnienia filozoficzne, ale nie tylko. Było też sporo śmiechu i zabawy. Niestety, nie ma już Andrzeja. Ale jest Aldona. Niedawno rozmawiałem z nią przez telefon. Zauważyliśmy oboje, że pomimo bardzo długiej przerwy nasza przyjaźń wcale nie wygasła. Mamy nadzieję spotkać się wkrótce. A we wspomnieniu napisanym przez Aldonę znalazłem obszernie cytaty z moich szkiców o Andrzeju. Jaka miła i wzruszająca niespodzianka!

Nie tylko spotykają nas same smutki, nawet na jesieni. W trzecim numerze „Akcentu” znalazły się moje wiersze. Zajrzałem potem do internetu, aby obejrzeć relację z promocji tegoż numeru. I co widzę, a właściwie słyszę, a lepiej: widzę i słyszę? Oto znakomite poetka Beata Gołack (Kalina Kowalska) omawia poezję zamieszczoną w tym numerze. Wspomina prawie wszystkich poetów, a ja już straciłem nadzieję, że mnie zauważyła. Tymczasem na koniec powiada: „a wiersze Stefana Jurkowskiego zostawiłam sobie na koniec”. Skoncentrowała się głównie na utworze „Klepsydra”. Podzieliła się bardzo trafnymi, mądrymi spostrzeżeniami i konkluzjami. Potem przeczytała ów wiersz w całości. Byłem zaskoczony i wzruszony. To także chwila szczęśliwa, która w identycznej odsłonie się nie powtórzy. Ale mam nadzieję, że jeszcze nie koniec, jeszcze się coś w moim życiu wydarzy równie ważnego.

Życzę więc Pani chwil ważnych i jasnych, i złotej jesieni pomimo wszystko... –

Stefan Jurkowski

